Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 36.** Leszno, *dnia 6. Marca* 1841.



Wielka uroczystość B. Bronisławy w Krakowie 2. Września 1840. r.

Wielka uroczystość z przyczyny kanonizacyi B. Bronisławy w skutek uchwały namiestnika Chrystusowego Grzegorza XVI. Papieża, w Krakowie 2. Września 1840. odprawiona.

Jeżeli wspomnienia nadzwykłych wypadków, świąt zachwycających, są nader miłym dla wszystkich upominkiem, mniemam, że religijnego obchodu zdarzenie, będzie równie pożądaném dla tych pocieszeniem, którzy w nadziemskiém przeznaczeniu człowieka, smakować nawykli; i obok przemijających uroczystości świętych, do wiecznéj sposobili się uroczystości. Stolica pobożności, drogich zabytków, wielkich niegdyś monarchów, miasto Kraków, radosnéj dla swych mieszkańców doczekała się chwili w ubiegłym roku. Właśnie dzień 2. Września, był zapowiedzianym dniem tryumfu, jaki Pan Niebios, dla jednéj, z potomków znamienitych rodzin polskich, Bronisławy Prandocianki, w wyrokach swoich zakreślił. Godna zaiste podziwienia, że nie w chwilach blasku Rzeczypospolitéj, nie, kiedy Zygmuntów, Jagiellonów potęga zwracała nań obcych uwagę; nie, kiedy wszelkie z Stolicą ś. stósunki i okoliczności sprzyjające, spajały nasz naród; ale w obecnych kolejach, Pan świata kroplą pociechy z Niebios lud swój pocieszyć raczył. To nadzwykłe religijne zjawisko, niemogło być dla Krakowian obojętnym wypadkiem. Zwierzchność Dyecezalna, niepominęła tém wszystkiém się przejąć, co tylko do tak świetnéj uroczystości posłużyć mogło. Na mocy Dekretu Apostolskiego, za pośrednictwem Biskupa krakowskiego, X. Karola Skórkowskiego, i Biskupa Sufragana Administratora, X. Franciszka Zglenickiego (1), tudzież poświęceniem się osobistém J. X. Józefa Pawłoskiego, kanonika: wydobyto z wnętrza świątyni zwierzynieckiéj, obok ółtarza pod tytułem ś. Anny, zamurowaną urnę cynową, już po kilkakrotnie na tém znamienitsze przenoszoną miejsca, śmiertelne szczątki błogosławionéj Bronisławy, na jakich czas nawet sześciowieczny, który niczemu nieprzepuszcza, zostawiając wszędzie piętna zniszczenia, niewywarł swéj zawiści. Podniesione w obec Zwierzchnika Dyecezyi, i wedle prawideł podanych z Rzymu, rozpoznane przez lekarzy, policzone, i dla najpewniejszych dowodów, za autentyczne uznane, opieczętowane; spoczywały w tym zakącie, gdzie spojone z świętą duszą anielski spędziły żywot; dopóki niewykończono, pięknéj roboty krajowéj w stylu gotyckim, oprawy pozłocistéj na głowę, a odłącznie na resztę czcigodnych szczątków, trunienki.

Zapowiedziały dawniéj publiczne pisma, w różnych językach, o zatwierdzeniu czci, powagą Grzegorza XVI. Papieża B. Bronisławy, którą bez przerwy lud krakowski, jako świętą uwielbiał i mienił, przyuczony oceniać pobożność i cnotę. Jéj kapliczkę, tę lubostroń, jako pomnik, gdzie na modlitwę i bogobojne rozwagi, jeszcze przed obostrzeniem klauzury zakonnéj przez Koncylium Trydenckie, zwykła była wydalać się samotna, zawsze ze czcią należną nawiedzał: święte tajemnice ółtarza, tamże uprzytomniał, licznych darów i duchownych zasiłków, za jéj opiekowaniem się, szczególniéj podczas śmiercią ziejącéj azyatyckiéj klęski (cholera morbus) doświadczał. Co za szczytny tryumf cnoty, któréj późne pokolenia hołd niosą!

Na kilka dni przed zbliżającą się uroczystością, już nadzwykły pojawił się ruch obcego ludu, w starym grodzie; w którym zwykle nic więcéj, prócz obumarłego przemysłu i ciszy, dostrzedz nie można. Transparent zasiadły na facyjacie wieży kościoła XX. Dominikanów, wyobrażający szczęśliwą parę, Bronisławę z Jackiem, dwie kochające się i razem zbawione dusze; zwabiał w wieczorne chwile mieszkańców i rozlegającym się daleko pieniom pobożnym jakoby odblaskiem towarzyszył. W dniu 30stym Sierpnia, właśnie po uzupełnionéj uroczystości ś. Jacka, na jaką wnętrze wspaniałego kościoła we wszystkie przekształciło się ozdoby; za pośrednictwem miejscowego Zgromadzenia, nastąpiły wyprowadziny, w obec tłumu rozradowanych Krakowian, z kaplicy Najświętszéj Panny, wyrazu B. Bronisławy, który ustawiono w jego średnicy. Od téj chwili lud religijny, bez przerwy, od świtania aż do głębokiego pomroku się ściągał, jękliwe prośby nowéj przesełając Patronce.

W celu tym, uchwalono trzydniowe nabożeństwo uroczyste; zamówieni opowiadacze słowa Bożego, aby przy tak rzadkiém zdarzeniu, umocnili wiarę, która sama tylko tak znakomite daje zwycięztwa: wezwani powiernicy sumnienia, aby tysiącznym rzeszom rozdzielali nadziemskie pociechy, ustalili nadzieję nieba, i usposobiali do zewnętrznéj nawet pociechy. Nareszcie zawitał dzień drugi Września, tyle upragniony dla Krakowa. Co tylko słońce promieńmi swoimi ozłociło krzyże i wzniosłe wieżyce gęstych przybytków pańskich, aż tłumne rzesze z Szląska, Galicyi, okręgu wolnego miasta, z nuceniem świętém, które nie jednemu łzę wycisnęły serdeczną, cisną się przed kościół oznaczony, oczekując tego zwycięzkiego pochodu, i godziny powitania na nowym ółtarzu swojéj Patronki. Gdy zaś uczuciami przepełnionemu sercu, trudno odmówić widzialnych oznaków radości; gorliwi obywatele miasta, samowolną składką wznieśli przy wstępie w liniją ulicy grodzkiéj, obok dwóch narożnych kamienic, bramę wspaniałą, na szczycie któréj umieszczono obraz, przedstawiający ś. Bronisła-

(1) Który z powszechnym żalem w dniu 27. Stycznia b. r. przeniósł się do wieczności.

wę, z przyciśnionym do piersi krzyżem, i unoszącą się na obłokach do Niebios, jakoby dla błagania Pana światów za swoim narodem: okna mieszkańców upiększono kwiatami, spuszczono nadobne kobierce; i na co tylko ten lud szlachetny z imion, familii i rodzin, prawowierny, mógł się zdobydź, odznaczył tę epokę jakimsiś urokiem i religijną wspaniałością; bo czém jest jutrzenka srebrzysta dla ociemnionych nocą oczu, czém rosa dla upalonego kłosa, czém widok progów rodzinnych dla tułacza, tém jest ta szczytna uroczystość dla serca Polaka.

Za uderzeniem 12téj z południa, zamknięto handlowe sklepy i pracownie, rozpoczęto wielkie święto, jakiego zdawna z utęsknieniem oczekiwano. Co tylko na Wawelu Zygmunt, którego z takiem poszanowaniem miasto słucha, jak niegdy jego Panów i Imienników, zawołał na dawną stolicę, i jego przedmurza, aż skupione licznych świątyń dzwony, jednoczesnym jękiem zwiastowały, bliską rozwinięcia się religijną scenę. Natychmiast wszystkiemi ulicami, dąży lud pobożny, aby zwiększać orszak święty: w głębokiém milczeniu, czeka wielkiego zjawiska, którego późne nieujrzą potomki. Czcigodny Biskup Sufragan, poważnym głosem, rozpoczął nareszcie pierwsze nieszpory: muzyka wykonała pięć psalmów zwykłych, po dokończeniu których, gdy na przygotowanym zasiadł krześle, a duchowieństwo wszelkie, obszerne zajęło prezbyterium, i uszykowało się w bratnie pary; odczytano z kazalnicy Dekret Ojca ś., wyrokujący cześć publiczną B. Bronisławie; Kaznodzieja daléj przemówił, i gdy z mównicy zstąpił, dzwony wszystkie, i wystrzały z moździerzy, dały się powtórnie słyszeć; nastąpiło wielkie ludu poruszenie, i promienista uroczystość, któréj czystego blasku żadna chmura, żaden głos bezwiarka niezmroczył. Po za obrazami, i chorągwiami bractw kościołów wszystkich, które końcem swoim, już cały rynek i wiślną ulicę przeciągnęły, stanęło duchowieństwo świetnym szpalerem, mając na czele zgromadzenie pustelnicze Kamedułów z krzyżem, co lubą opuściwszy ustroń Bielan, tudzież Karmelitów bosych, przybyłych z czarownego położenia Czerny, aby na ten raz, w murach starożytnych Krakowa, uobecnić tryumf, jaki Religia poświęca, nie lubownikom świata, ale owszem wzgardzicielom onegoż: za nimi postępowały inne zakony, których poczet zamknęli kaznodziejscy bracia. Tu kilku pokazało się Norbertanów z sąsiednich Węgier, aby niegdyś siostry swojéj Bronisławy, zaszczycić wstęp na ołtarz. Kler świecki, miejscowy, ze Szląska, Galicyi, i okręgu miasta, bardzo liczny, długim szpalerem rozwinięty, pojawił widok rzadki, a zarazem, serca pobożnych pocieszający; że jeszcze nasza ziemica, acz różnym losom uległa, co do Religii i jéj sług, po większéj części, różnicy niezna. Pasterze dusz i opiekuni owieczek Jezusa Chrystusa, zasmucili poślubione sobie kościoły i dziatki, zbiegli się tam, gdzie niegdy rozległéj owczarni i Dyecezyi Krakowskiéj zwierzchnicy zasiadali stolicę, i z téj równie, jako i z tamtéj strony Wisły ludy, uległały ich duchownéj władzy. Prześwietna kapituła krakowska, zakończyła długi szereg pomazańców Boskich; za których gronem, w ubiorach kościelnych, sześciu Kapłanów unosiło na ramionach feretrum B. Bronisławy, mając sześciu obok siebie zjarzącemi pochodniami obywateli, w staropolskim stroju; jakoby cień słaby przeszłości, który nadto poświadczać się zdawał, że ta, którą dziś jako Patronkę polski naród wita, była również Polką. Na kilka kroków powiewały mnogie chorągwie cechowe, połyskujące z dawnych czasów, białym orłem, herbem stolicy, widokiem Patronów właściwych, gdzie X. Kanonik Gładyszewicz, Surrogat Konsystorza, wyręczający czcigodnego Biskupa, otoczony liczną asystencyą, z wolna postępował; a za nim w największém zebraniu ducha pobożnych mnogie tysiące, a wszyscy z modlitwą w sercu, i głęboką powagą.

Cały ten orszak uroczysty, przy wypogodzonem niebie, milczącym wietrze, w największéj skromności i porządku, może tylko w skutek natłoku, cokolwiek naruszony, ale strzeżony od miejskiéj milicyi, płynął właśnie, jak gdyby do nieba, bo myśl jego zajęła niebiosa. Góra Wawelu, brzegi Wisły, pagórki ś. Małgorzaty, mogiła Kościuszki, okryte były ludem, który niepodobna, aby się wspólnie nie skupił, rozłączony ciałem, ale spojony duszą, wiarą i językiem. Pienie na cześć B. Bronisławy, niejako śpiew anielski, w którym tyle było świętości, w ciągu całego pochodu, przebijał powietrze, wytężał do Boga pobożnych umysły. XX. Dominikanie łącznie z amatorami wykonali muzykę: w wypoczynkach tylko odzywała się kapela milicyi. Nikt, oprócz duchowieństwa, dla małéj obiętości, do świątyni zwierzynieckiéj wniść niemógł; zostawał jakoby w oblężeniu, ten starożytny zakątek, od zgiełku świata daleki, do pierwotnych klasztorów Krakowa należący, w dziejach kraju tak pamiętny. Biskup Sufragan, z kilku Prałatami kapituły, zasługą i laty obciążonymi, przy podwojach kościoła powitał uwielbionéj Bronisławy obraz, noszący na sobie piętno odległéj przeszłości, z rąk P. Ksieni odebrawszy głowę, a od sześciu panien zakonnych trunienkę z resztą ostatków swojéj poprzedniczki; te na nowym, dopiero odsłonionym, zamieścił ółtarzu, aby od następnych pokoleń cześć odbierały i uwielbienie. Po ukończonym nieszporze i kazaniu, odśpiewało duchowieństwo uroczyście Te Deum, i przystąpiło po raz pierwszy do ucałowania relikwii. Lud wracał, poleciwszy się nowéj Patronce, jak gdyby przez jaki kościół, bo właśnie w dzień ów Kraków cały przybrał postać świątyni; wszędzie nucono pieśni, pobożne hymny,

wielbiono Boga, sławiono świętą. Miasto, bez wszelkiego polecenia, obywatele rzęsisto oświetlili. Brama, którą cały postępował orszak, ozdobiona światłem kolorowém, tudzież wieża kościoła XX. Dominikanów, na któréj błyszczał herb domu Odrowążów, rzucała daleką łunę; śpiewy religijne po całém rozlegały się mieście, i do przesilenia nocnego był w Krakowie dzień złoty, religijny. Trzy dni następne przeciągał lud pobożny w podłuż Zwierzyńca, i ku tamecznéj świątyni, serca i chęci zwracał. Kapłani obcy przesłali w ofiarach ółtarza podziękę niebu; muzyka, która od promyku jutrzenki, aż po zaszłą twarz słońca, słyszeć się dała; mowy kaznodziejskie; szafunek sakramentów, gdzie w samymże kościele zwierzynieckim uklękło do stołu pańskiego 4,000 osób, nielicząc innych kościołów miasta, do których dla większéj łatwości, lud się gromadził; rozlegające się ubogich dotkliwe pienia, to wszystko dodawało świętego uroku i podziwu. Sakrament Bierzmowania, usposobionym udzielał każdodziennie ksiądz Sufragan. Trzeciego Września, ile w dzień ś. Bronisławy, na zawsze jéj poświęcony, wieża zwierzyniecka rzęsisto oświetlona, ognie sztuczne, przyświecały tłumom pobożnych i ludowi obcemu, który pod gwiazdolitém niebem, przy ścianie i progu grobu nowéj patronki, zasilać się i nocować był zmuszon. Kilka wydań obrazów i medalów świętéj Bronisławy, oraz książek, odbitych przez artystów krajowych, rozkupiono, i ku pamiątce zachowano potomnych. W dzień dokończający całą tę nadzwykłą uroczystość, lubo deszcz kilkoczasową odwilżał posuchę, pobożni przecież zapełnili mury świątyni; lud pograniczny, nowo przybyły, dla braku pewnych wiadomości, gdyż cenzura świecka, w wydrukowaniu programu, długo opór stawiała; jeszcze nazajutrz świętości przyjmował, i z duchownych skarbów korzystał. Po ostatnim nieszporze i kazaniu, zanucono hymn ś. Ambrożego; tu już przy zmroku, dzwony kościołów miasta i jego przedmieści odezwały się poważnie, a Zygmunt na wieżycy zamkowéj, jak wszystkiemu nadał początek, tak równie całe pamiętne dla kościoła i miasta, zachwycające święto, królewskim głosem zamknął. Oby Pan nieba rychło uszczęśliwił podobném zjawiskiem Kraków i naród cały! cześć Świętych, która już dla niezaprzeczonych dowodów, zdawna zatwierdzoną być powinna, dla błogosławionych Polaków: Stanisława Kaźimierczyka, Izajasza Bonera, Michała Gedrojca, Rafała Chylińskiego, Andrzeja Boboli; o gdyby nową uchwałą Stolicy Apostolskiéj ważność uzyskała! Bo kiedyż ta ziemia, na któréj ci Święci mężowie światło słońca ujrzeli, liczniejszych potrzebowała Przyczyńców, Patronów? Dozwól Panie, abyśmy się niezadługo cieszyli nowymi dobroci twéj dowodami!

Pisałem w dzień polubieńca Chrystusowego, Apostoła i Ewangelisty Jana, w Krakowie 1840.

X. *W*. *P*. . . . .

Ostatnie chwile życia i zgon Augusta II., króla polskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dispozycya przestrzegania bezpieczeństwa w mieście Warszawie podczas interregnum anno 1733.

1. Tułaczów i wagusów, jako téż podejrzanych w suspicyi ludzi, a osobliwie lożnych, włóczęgów bez służby zostających, żadnéj kondycyi nie mających, ażeby się po nocy nie włóczyli, napadłszy, vexować, albo téż zmiarkowawszy rzecz w których podejrzaną, przytrzymać. Także pauprów, śpiewaków, ażeby po czapstrzyku nie ważyli się w nocy śpiewać i włóczyć, zabraniać tego wszystkiego zwierzchność rozkazuje.

2. Warcie daje się ten przykaz i władza, ażeby także po czapstrzyku zabraniali szynków wszelkich na wszystkich miejscach, po całéj Warszawie, po wszystkich generalnie ulicach, kątach, gdzieby się tylko szynki znajdować mogły.

3. Po czapstrzyku, żeby wychodziły patrole, i na ten czas, żeby wszystkie ulice wolne były na całą noc.

4. Jak będą lekkie chorągwie w Warszawie, będą wychodzić na dalsze miejsca, jako to: na Solec, na Nowy Świat, na Alexandryą, na Leszno, na Nalewki za Cekauzem. Także będą posełali i we dnie poczty na Pragę, i po wioskach o milę wkoło Warszawy, osobliwie po nad Wisłą, jako téż i po boru bielańskim, dowiadując się, jeżeliby się jacy swawolni ludzie po borach, po drogach i w jakiémkolwiek miejscu nie znajdowali.

5. Gwardya koronna na nowém mieście poczty postawi, i na miejscach pobliższych, i będą patrulować po Ś. Jurskiéj ulicy i po inszych małych uliczkach w nocy, upatrując jakich hałasów biesiad i dawania okazyi.

6. Warta węgierska na starém mieście poczty rozstawi, a osobliwie we dwóch fórtkach, które idą do Wisły; także, ażeby mieli dwie kordygardy, jednę w krakowskiéj bramie, drugą w pobocznéj.

7. Kommenderowani będą trzymać swoje poczty i dyspozycyą w ten niżéj opisany sposób.

Kapitan pikietowy będzie wizytował wszystkie poczty, i rund będzie miał swój o północy.

Officer, który będzie na warcie u Jaśnie Wielmożnego Jmci. pana marszałka wielkiego

koronnego, będzie wizytował poczty przededniem, i rund swój będzie miał dzienny.

Dwóch unterofficerów od warty, u J. W. J. pana marszałka w. koronnego stojącéj, będą patrulować całą noc, lozując jeden drugiego, jak się jeden powróci, to drugi zaraz wynidzie. Ciż sami unterofficerowie będą patrulować przez całą ulicę senatorską, przez Podwale, wracając się potém ku krakowskiéj bramie; będą patrulować przez krakowskie przedmieście, aż do pałacu Najjaśniejszego Króla Jmci. ś. p., i powrócą się tylną marywilską ulicą aż do Warty.

Warty z nowych kazernów na Wielopolu będą posełać patrule około kazernów co godzina, na zabronienie dezercyi, i zaraz będą strzedz ognia.

8. Ażeby postanowić kordygardę na Podwalu, nie daleko kapitulnego, gdzieby był jeden unterofficer z sześcią ludzi, którzy będą mieli poczty, ażeby wszystkich hałaśników, zbiegów, gromić i przytrzymywać, i będą mieli baczność na ulicę koło jatek, i na téj ulicy, gdzie OO. Kapucyni, aby się także przechodzili, upatrując jakich swywolnych ludzi.

9. Jeden unterofficer z sześcią ludzi, aby mieli kordygardę na krakowskiém przedmieściu przy trębackiéj ulicy, i żeby dali baczność przechodząc się po ulicy, z krakowskiego przedmieścia do pałacu J. O. księcia Jmci. Prymasa idącéj, upatrując takichże ludzi swywolnych.

10. Jeden officer z sześcią ludzi będą mieli kordygardę na przeciwko OO. Bernardynów, aby dali baczność na uliczkę przy OO. Bernardynach, ku Wiśle idącą, i na insze małe uliczki.

11. Jeden officer z sześcią ludzi będą mieli kordygardę przy pałacu Jmci. pana Montmorencis, i dadzą baczność na tę ulicę, jako też i na uliczkę poboczną, podle dworku Jmci. pana kasztelana Małogoskiego idącą.

12. Ażeby zakazać wszystkim Żydom, aby się nic podejrzanego u nich nie znajdowało, ani też ludzi żadnych łoźnych, służby nie mających, ani złodziejów u siebie żeby nie przechowywali.

13. Instygator marszałkowski będzie miał znak, który pokaże wartom, aby mu ludzi do pomocy dawali, kiedy tego będzie potrzeba.

14. Instygator będzie czynił raport majorowi, a potém go major będzie czynił pryncypałom swoim.

15. Muzyki żadnéj, w jakiémkolwiek miejscu, aby się nikt nie ważył mieć u siebie.

Kommenderowani mają dawać ludzi na każdy dzień.

Na wartę do J. W. Jmci. pana marszałka wielkiego koronnego:

1 kapitan pikietowy, 1 porucznik, 2 unterofficerów, 2 doboszów, 1 fajfer, 34 żołnierzy.

Na wartę do kazerów:

1 serżant, 16 żołnierzy, 1 dobosz.

Na Podwale:

1 kapral, 6 żołnierzy.

Blisko ulicy trębackiéj:

1 kapral, 6 żołnierzy.

Na przeciwko OO. Bernardynów:

1 kapral, 6 żołnierzy.

Blisko pałacu Jmci. pana Montmorencis:

1 kapral, 6 żołnierzy.

Summa facit.

1 kapitan,
1 porucznik,
7 unterofficerów,
3 doboszów,
1 fajfer,
77 żołnierzy.

90 wszystkich uczyni.

(Dokończenie nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Odpowiedź na zarzuty przeciw Duchowieństwu, znajdujące się w ustępie z poematu: Pan i chłop, *na stronnicy* 26, *No.* 4 *Tygodnika literackiego, którego następujące wyjątki:*

„*Coś księdzu na nos usiadło, — bąknął stary, —*
„*Że nas tu mroźi, — przecież jałowicę*
„*Wziął od was za Chrzest? ostatnią! westchnęła,*
„*Ale ksiądz dobry spuścił dwa talary —*
„*I znów od zimna rozmowa się ścięła.*
„*Czekali długo... Otoż i Dobrodziéj*
„*W dostatniém futrze i komży przychodzi.*
„*Wszystką też sprzężaj, i wozy i pługi,*
„*Jedno ksiądz zabrał, drugie żyd za długi,*
„*Resztę do dworu zajęto grabieżą,*
„*Chłop się do biedy i płaczu narodził,*
„*Mówi ksiądz pleban: Pan, aby używać,*
„*Cierp, a po śmierci możesz się spodziewać.*“

Wystawiają księdza za podłego pochlebcę, dworaka, łakomcę i chciwca nielitościwego, połączonego z dziedzicem włości, na zgubę i udręczenie chłopa. Żyda poczciwszym i godniejszym od pierwszych autor poematu wystawił, gdy przy rozdzieraniu zdobyczy po chłopie, żyd tylko za długi, jako swą słuszną należytość, część zabrał, ksiądz za pogrzeb i chrzest. Dwór zaś, niemając żadnego prawa do zdobyczy, musiał zostać grabieżcą.

W przypisku Redaktora do artykułu o stanie chłopów w w. ks. poznańskiém na stronnicy 27 No. 4 Tygodnika literackiego, który całkiem tu umieszczam, spostrzegamy tego samego ducha, nienawiścią i oszczerstwem tchnącego.

„Nikt pewnie więcéj dla stanu duchownego „nie jest przejęty szacunkiem, aniżeli Redakcya „pisma tego, lecz tylko dla takiego, jakim po„winien być, i jakim go chciał mieć Chrystus, „nauczycielem ludu, obrońcą praw jego, pocie„szycielem i ojcem, prowadzącym go do pozna„nia w duchu zasad Chrystusa, samego siebie. „Nie cierpiąc podług tych zasad żadnych sekt

„i kłótni religijnych, i uważając takowe, jako „przeciwne duchowi czasu i postępu, narażi„liśmy się często na zaczepki z strony pojedyn„czych indiwiduów, należących do stanu, którego „powołania nierozumieją. Zarzuty te zostawi„liśmy i zostawiać będziemy bez odpowiedzi. „Kto się przypatrzył życiu wielu księży, jak „oni, którzy mają być podług Pisma św. ubo„gimi sługami ludu, panują nad nim i ostatni „grosz z biednego wieśniaka za pogrzeb, chrzest, „msze zaduszne i t. p. wyciskają, i na domiar „wszystkiego każą mu wierzyć, iż są zastęp„cami Boga na ziemi; ten tylko z oburzeniem „patrzeć będzie na ludzi, którzy boską naukę „Chrystusa przekręcili, to, co niebiańskie, bło„tem życia ziemskiego zbrudzili. Wszystkie „obrzędy kościelne, podług Pisma św. powinny „być dla ludu biednego bezpłatne, szczególnie „u nas, gdzie ksiądz ma zwykle dochód wię„céj, jak wystarczający. Oburzającém jest, że „to, co jako sakrament Jezusa Chrystusa ogła„szają, biedny chłopek za ostatni grosz kupić „musi. Szczególnie w stawianiu budynków, jak „wspomina się w dalszym ciągu artykułu, jest „wielkie nadużycie, i wcale nie dziw, iż lud „płacze gorzko i przeklina tego, którego bło„gosławiłby, gdyby on chciał być tém, czém „być powinien.“ —

Nie może się Redaktor zasłonić wybiegiem, że miał na celu dotknąć niektórych tylko złych księży; bo ten wyraz ksiądz, który za chrzest wziął ostatnią krowę od biednéj, nie znaczy tu jedno indiwiduum, ale ogół. Wyrazy w przypisku wielu księży, nie znaczą indiwidua, jako wyjątki, ale oznaczają mnogość. Najwyraźniéj udowodnił Redaktor swą nienawiść i pogardę ku całemu duchowieństwu w wyjątku z poematu niedrukowanego Banko przez Maurycego Gosławskiego, umieszczonego na stronnicy 34 No. 5 Tygodnika literackiego roku 1841. Zdaje się, że dla tego takowy umieścił, iż w nim znalazł następujące wyrazy:

Potém popów orszak kruczy,
Zgromadzi się pod lepianką,
I ponuro ci zamruczy
Urzędowe wielkie banko.

Wyraz bowiem pop używany powszechnie jest w Rossyi, w kościele wschodnim, obrządku greckiego; w naszéj zaś prowincyi wyraz ten zawsze oznacza pogardę. Jeżeli celem Tygodnika literackiego ma być rozpowszechnienie oświaty i poprawa obyczajów, niewłaściwą tu Redaktor obrał sobie drogę. Pogarda i wyszydzanie duchowieństwa, prowadzi lud do bezbożności, a ztąd do anarchii społecznéj. Wszystkie dawne upadłe narody, przed upadkiem swoim straciły wprzód religią, któréj upadek zaczynał się zawsze od znieważania kapłanów. Gdy Rousseau prawił ludowi francuzkiemu o wolności i równości, w tym samym czasie Voltair chcąc obalić religią, zaczął wprzódy w zmyślanych swych powieściach od wyjawiania i wyszydzania ułomności duchownych. Obaj zmierzali, choć odmienną drogą, ku rewolucyi socyalnéj. Zdaje się, że Redaktor obydwóch chce naśladować, gdy się wmięszał nawet do stósunków wiejskich (wybierając artykuł o stanie chłopów w wielk. ks. poznańskiém, podług którego opłata czynszu włościan winna być zniesiona, a właściciele dóbr, jako grabieżcy cudzéj własności są nacechowani). Lecz nie możemy się w naszéj religijnéj prowincyi podobnych wypadków obawiać. Poznań, nie jest panującym Paryżem, a wielk. ks. poznańskie nie jest Francyą. Zabezpieczeni jesteśmy od głodu, jako także sprężyny rewolucyjnéj. Urodzajna nasza ziemia dostarcza nam tyle chleba, że go i obce narody od nas kupować muszą. Łagodny i spokojny lud polski, nie ma fantastycznéj gwałtowności ludu francuzkiego. Z osnowy przypisku Redaktora i z wyboru niektórych wyjątków przez niego w Tygodniku literackim umieszczonych, wyjawia się, że Redaktor nie jest Roussem, ani Voltairem, ale nie powołanym ich tylko zwolennikiem. Poprawa obyczajów, lub podniesienie rewolucyi, do wielkich ludzi tylko należy.

Redaktor przyjął na siebie poprawę życia duchowieństwa. Czemże udowodni posłannictwo swoje? Gdzież szukać nieomylności jego rozumu, czy w następujących wyrazach? Naraziliśmy się często na zaczepki pojedyńczych individuów, należących do stanu, którego powołania nierozumieją. Czemżeż udowodni, że lepiéj zna obowiązki stanu duchownego, niż sami kapłani? Gdyby Redaktor był się radził zdrowego rozsądku, nie byłby się mięszał do sądu w obcém mu rzemiośle. Byłby sobie może przypomniał Appelesa, który rzekł szewcowi: że mu więcéj nie wolno sądzić, jak tylko o bótach. Oświadcza Redaktor, że szanuje takiego tylko księdza, który jest nauczycielem, pocieszycielem i ojcem ludu, prowadzącym do poznania samego siebie. Takiego kapłana radzę Redaktorowi dla samego siebie szukać, któryby go oświecał i naprowadzał do poznania samego siebie. Przedewszystkiem niech sobie kupi katechizm z objaśnieniami, ażeby mógł poznać swoje obowiązki; niech na kazania i nauki do kościoła uczęszcza. Niech czyta często, dla zbudowania własnego ducha, Tomasza à Kempis, a potém niech wnijdzie w samego siebie bez miłości własnéj, jako prawy Chrześcianin; a zapewne nie odważy się, tak lekkomyślnie zadawać kapłanom, „że powołania swego nie rozumieją, że boską naukę Chrystusa przekręcili, to, co niebiańskie, błotem życia ziemskiego zbrudzili,“ i oklepanemi już dawno deklamacyami wyrzucać publicznie wydarte nielitościwie ostatnie krowy i ostatni grosz za chrzty, pogrzeby i t. d. Bez jego deklamacyi, wie cała społeczność, że w jéj łonie znajdują się między dobrymi

i źli kapłani. Na wdzięczność by sobie zasłużył Redaktor, gdyby wynalazł środek zapobiegający, żeby żaden kapłan, mimo słabości ludzkiéj, nie mógł się złym stawać. Zna to rozsądniejsza publiczność, że powołanie księdza, choć jest święte i anielskie, nie uwalnia go jednak od żadnéj słabości natury ludzkiéj; że z tą naturą ciągle walczyć muśi. A jeżeli Redaktor zwalczał kiedykolwiek w swém życiu jaką w sobie namiętność, przyznać muśi, że to walka niepospolita. A gdy kapłan który ulegnie, prawdziwie oświecony filozof chrześciański ubolewać nad nim będzie, a nie wyszydzać publicznie. Chciał Redaktor przyjąć rolę satyryka, mógł wprzód wszystkie lepszego smaku dawne satyry przeczytać, a pojąwszy je, przyswoić sobie stósownie do oświecenia i panującego ducha naszéj prowincyi. Jego zaś płaskie satyry obrażają nawet delikatne uszy wyższego wykształcenia publiczności, naocznie przekonanéj, że obok niektórych złych księży, liczy większą liczbę godnych i wiernych swemu powołaniu, którzy, jeżeli biorą zapłatę za chrzty, śluby i pogrzeby, biorą je od takich, którzy są w stanie zapłacenia. A odebrawszy z rąk jednych, udzielają często tajemnie, przy odwiedzaniu chorych, wsparcia nieszczęśliwszym bez chełpienia się. Od niebędących zaś w stanie płacenia, prawo samo krajowe nic pobierać nie pozwala. — Nie czytano jeszcze w naszych dziennikach i gazetach nigdzie, aby na rzecz pogrzebu, chrztu lub ślubu odbyła się jaka publiczna licytacya ruchomości. A jeżeli się zdarzają w tym względzie niekiedy pojedyncze nadużycia, są one nieodstępne wszystkim ludzkim ustawom i ułomnościom. Sprostowanie ich należy do innéj władzy, a nie do Tygodnika literackiego. Poprawa złych obyczajów nie tak łatwo idzie, jak robienie wykrzykników, (!) znaków zapytania, przypisków i dobieranie wyjątków z szyderskich poematów. Pomimo niektórych złych księży, dobra moralność ciągle postępuje naprzód, któréj źródłem nie Tygodnik literacki, ale przykład i nauka przez kapłanów ogłaszana. Liczba przeto złego ustępować muśi liczbie dobrego. Duchowieństwo nasze nie jest tak złe, jak je Redaktor wystawia. Dowiodło, gdy chodzi o wiarę, bez względu na swe doczesne posady, że jest godném i wierném swemu powołaniu. Jako chciwe i łakome, nie potrafiłoby się wznieść do żadnego heroizmu. A jeżeli się znaleźli pomiędzy niém niektórzy obojętni, godziż się dla tego wszystkich Apostołów nazywać zdrajcami, że Judasz był zdrajcą?

Nim Redaktor ogłośił, że ksiądz ma zwykle dochód większy, niż wystarczający, winien był wprzódy wyśledzić wszystkie plebańskie naszego księstwa posady, a byłby znalazł, że niektóre ledwo 100 tal. czynią dochodu. Powtóre: gdy życzy sobie, aby księża byli ubogimi sługami ludu, winien był podług pewnéj normy ograniczyć rozchód. Zapytuję go się: czy mają żyć jak pierwśi pustelnicy korzeniami, lub z pracy rąk własnych? czyli też podług ducha teraźniejszéj cywilizacyi? Wtenczas dopiero, po odciągnieniu rozchodu od dochodu, mógłby śmiało wyrzec, że posiadają dochód, więcéj niż wystarczający. Teraz pytam go się jeszcze: czy nie wolno jest mieć księdzu dochodu więcéj, niż wystarczającego? i czy ta reszta, jakimkolwiek sposobem przez niego zużyta, straconą jest dla pracującéj fizycznie ubogiéj ludności?

Przypominam jeszcze naukę panu Redaktorowi, że, kto chce cudze przywary karcić, muśi sam wprzód być doskonałym. A prawdziwie doskonały człowiek, nie będzie, przez samo nawet uczucie delikatne, w pismach publicznych własnego duchowieństwa wyszydzał i spotwarzał; którego sława lub hańba rozgłoszona za granicą, każdego jako współrodaka i współwyznawcę obchodzić powinna, jako składającego główną cząstkę społeczności naszéj. Wszystkie kraje mają także obok dobrych i złych księży, nie czytamy jednak w ich pismach publicznych, nawet i tam, gdzie wolność druku jest nieograniczona, ażeby ich oczerniano i wyszydzano. Szlachetny ptak swego gniazda nie kala!

X. A. N.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

(Dalszy ciąg.)

Często napotkać można w tych lirycznych poezijach szczególniejsze podobieństwo między naszym poetą a Karpińskim. Podobieństwo to najtrafniejsze w śpiewach, w których serce i tęskność przewodniczą obu. Cóż może się lepiéj porównać do pieśni Karpińskiego, jak te wiersze:

Darmo mi matko stawisz krosienka,
Inna mnie teraz myśl wiedzie;
Ach: pozwól raczéj wyjrzeć z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie, i t. d.

Zdaje się, że to są dalsze strofy znajomych pieśni Karpińskiego, tak w nich czucie jest jednakie, tak oddychają tém czystém sielskiém powietrzem, taka w nich jest czułość naturalna i prawdziwa! Pomiędzy tymi dwóma poetami, którzy nam polskie, wolne od obcego naśladownictwa, zostawili wzory, jest jakaś styczność, jakaś tajemnicza sympatija, braterstwo uczuć, charakterów, opinii. Kniaźnin był więcéj towarzyski, formy jego są więcéj dworskie, bardziéj ukształcone, ale w ich utworach lirycznych, kiedy malują tkliwe uczucia, proste ale poważne obrazy wioski, obadwa są to sielanie równo i wiernie czujący, mają tę słodycz rysów, ten lekki koloryt, ten powab wiosny, tę rozmaitość natury, którą opisują.

Styczność ta równie postrzegać się daje

w tłumaczeniach Psalmów Dawida. Są niektóre tłumaczone przez obu; żadnéj w nich prawie różnicy znaleść nie można, tak prawdziwe czucie ma jeden język, wspólne wysłowienie. Ponieważ Psalmy mają tę szczytną wzniosłość i tęskność mocną i wezbraną, przypadły więc wiernie do usposobienia umysłu i duszy Kniaźnina. W tłumaczeniach tych dodał wszakże nasz poeta tę poprawność i harmoniją wiersza, któréj jego spółzawodnik w tak wysokim nie posiadał stopniu. Ile tu poezyi i życia w tym psalmie 103.

Boże! tyś wielki, Tobie cześć i chwała,
Jako płaszcz jaki jasność Cię odziała,
Ten namiot ręką Ty robiłeś Twoją,
Niebo, nad którém wody wisząc stoją.
Chmury Twój powóz, wiatry Twoje cugi,
Burza posłańcem, a pioruny sługi.

Ta ziemia Twoją utwierdzona mocą,
Twojém skinieniem dzień idzie za nocą,
A któréj służą i światłość i cienie,
Przepaści mgły jéj dały za odzienie,
Skoroś rzekł słowo, a nieba zagrzmiały,
Pola w dół poszły, a ku górze skały!

. . . .

Taż wilgoć żywi dęby i sosny,
I cedr Libanu, Twą ręką szczepiony,
Gdzie ptak rozliczny z pisklętami żyje,
Gdzie jeleń buja, gdzie się zając kryje.
Zna swoje pory twarz księżyca blada,
Zna słońce, kiedy wstaje i zapada.

. . . .

Któż to wyliczy, co morze ukrywa?
Twojeć to wszystko, co leci, co pływa,
Otworzysz rękę, wszyscy nasyceni;
Zwrócisz oblicze, wszyscy zasmuceni;
Ducha im weźmiesz? wniwecz się obrócą.
Ducha im natchniesz? do życia powrócą.

Niechaj Ci odtąd, o rządzco Syonu!
Głos mój i lutnia brzmi moja do zgonu!

W całym tym tomie lirycznych poezyj Kniaźnina, w przedmiotach politycznych lub innych, pokazuje się prawdziwy talent poety. Dziwna tylko, dla czego nazwał odami niektóre z tych wierszy, w których niemasz ni wzniosłości, ni szlachetnego uniesienia, właściwego temu rodzajowi poezyi. Są to sielanki, idylle, które pomiędzy temi ostatniemi umieścić trzeba było. Zresztą w wielkiéj większości tych poezyi, które zasługują na tytuł ody, pokazuje się, jakośmy mówili, cały talent Kniaźnina. Przepełnione jego serce temi dwóma szlachetnemi uczuciami, które charakteryzowały wszystkie jego poezye, znalazło formę ody najstósowniejszą do tych tajemnych uniesień, do tych monologów, w których poeta oddzielony od reszty świata, sam z swoją nadzieją lub żalem naprzemian łudził się lub cierpiał. Są to bezwarunkowe zwierzania się, potrzeba współczucia, bóle bez pociechy, nadzieja bez echa!

Jakby na umyślne przeciwieństwo następuje poema „Balon,“ po tych lirycznych poezyjach Kniaźnina, Balon, utwór wesoły, żartobliwy, musiał niewiele kosztować autorowi, chociaż ciągle w nim widać uporczywą walkę talentu z nicością przedmiotu. Wszystkie wklejane obrazy, opisy, w te pospolite ramy, w których starał się autor podnieść ducha, jakby na dodanie światła i życia całości, są tam tylko próżno narzuconą pracą. Jest tam dużo łatwości, talentu, jest ruch imaginacyi, ale nie dla umysłu i serca. Wszystkie te poemata, a mianowicie „Rozmaryn i Matka do Córki,“ pokazują, jak wsteczną poszedł Kniaźnin drogą, obierając sobie takie przedmioty. Nic w nich niemasz prócz łatwości i właściwych zalet wierszowania, a w ostatnich dwóch, czytelnik zraża się tą rozwlekłością opisań, nudną już słodyczą, które, rzecz dziwna, jak przeszły niedostrzeżone przez autora. Tyle wierszy składają ten biedny „Rozmaryn,“ tak długie są te „Rady Matki,“ iż trzeba energicznéj woli, żeby je do końca przeczytać. Balon od tego jest wolny. Jakkolwiek przedmiot wcale niepoetyczny, rozmaitość osób, które do tego poematu wchodzą, pozwoliła poecie równéj rozmaitości obrazów, żartobliwych wstępów, jak naprzykład „Radę kotów,“ ładnych opisań, jak ten obraz „Raju,“ i malowideł dwunastu ścian balonu, które Irys tak dowcipnym pędzlem ozdobiła. Gdzież są ci Muzofile, Glikony? te Kliodory, i te Irydy? Gdzie nareszcie ten sam poeta, który z takim dowcipem opiewał ich zabawy, wesołe żarty, pożyteczne odpoczynki? Wszystko to owiał zabójczy oddech śmierci, albo splątały przeciwne prądy, spienione bałwany i burzliwe nawałnice świata! Zostało po nich tylko wspomnienie, tęskne, dalekie, jak pamiątka dobrego czynu w sercu uczciwego człowieka.

W trudnościach, które mu układ tego poematu nastręczał, w tych ciągłych obawach przestąpienia ówczesnych niewolniczych prawideł sztuki, czytamy zdanie, które późniéj tylu zwad stało się przyczyną. „Niewiem,“ powiada Kniaźnin, „jeśli geniusz poety potrzebuje prawideł jakich, nad jedno żywe uczucie wzbogaconéj imaginacyi, którą smak i natura kieruje.“ Widać, że wyższy umysł Kniaźnina przeczuł upadek téj literatury, któréj naśladownictwa tak ciągle unikał, téj trudnéj łatwości, błyszczącego wypracowania i czczego koloru. Sam miłośnik starożytności, chciałby był skierować postęp ówczesny do tych genijalnych wzorów, o których tak ładnie mówi:

Czy dłóta i pędzla rysy?
Czy tchnące czuciem napisy?
Z przyrodzeniem wszędzie sztuka,
Wesołość, słodycz, nauka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)